TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II Nr. 9 151 East 67 Street, New York, N.Y. 26.II. 1942

Niezwykła teza p. Maxa W. Balla.

Ze zdumieniem przeczytałem w numerze "New York Times" z dnia 12 lutego wyjątki mowy, którą p.Max W.Ball, prezes Abasand Oils,Ltd. z Kanady, wygłosił na zebraniu Związku Górniczych i Metalurgicznych Inżynierów. P.Max Ball postawił tezę, iż po wojnie do przyszłego związku narodów powinny być dopuszczone tylko te narody, które wykazały, że "posiadły zdolność rządzenia i mają za sobą dostatecznie długi okres międzynarodowej uczciwości." Do takich narodów p. Ball zalicza "jedynie narody mówiące językiem angielskim, narody skandynawskie, szwajcarski, holenderski i belgijski". Inne narody musiałyby być poddane jakiejś próbie czy egzaminowi i "mogłyby być dopuszczone do związku narodów dopiero po złożeniu dowodów niezbędnych kwalifikacji".

Jakie jest właściwie kryterjum, według którego p.Ball dzieli narody na zdolne i niezdolne do rządzenia sobą?

Powiada on:-"Ponieważ sami jesteśmy zdolni do rządzenia sobą i do szanowania praw naszych sąsiadów, przypuszczamy, że wszyscy ludzie mają te same pragnienia i zdolności. Nic nie mogłoby być bardziej fałszywym i niebezpiecznym złudzeniem. Sztuka rządzenia sobą nie jest darem wrodzonym; jest ona owocem długich i bolesnych doświadczeń. Ci z nas, którzy mówią językiem angielskim, poświęcili więcej niż sześć wieków do osiągnięcia tego co obecnie posiadamy w niedoskonałym stanie".

Kryterjum czasu i doświadczenia nie wydaje mi się zbyt przekonywujące. Mój znakomity rodak, antropolog, prof.B.Malinowski, z pewnością mógłby zacytować szereg przykładów, dowodzących, że pewne formy prymitywnego społeczeństwa utrzymują się znacznie dłużej niż lat 600, a mimo długich i bolesnych doświadczeń z sąsiadami lub przybyszami z innych stron świata, społeczeństwa te z pewnością nie byłyby uznane przez p. Ball'a za godne przyjęcia do grona przyszłego Związku Narodów. Z drugiej strony tysiącem lat niebylejakiej historji i niebylejakich osiągnięć poszczycić się mogą Francja, Polska, Czechosłowacja czy Jugosławja, tak pogardliwie zdyskwalifikowane przez p. Ball'a.

Ale mniejsza o to. Sam p.Ball rezygnuje właściwie z formuł generalnych, bo poprostu za pomocą dokonanej uprzednio - niewiadomo według jakich zasad - eliminacji, ogranicza liczbę godnych do przyjęcia w poczet związku narodów do sześciu, t.zn. do narodów angielskich, skandynawskich, szwajcarskiego, holenderskiego i belgijskiego.

Jest to zapewne tylko zbieg okoliczności, ale tak się składa, że wymienione przez p.Ball'a narody odpowiadają ściśle zasięgowi t.zw.rasy nordyckiej w rozumieniu doktryny hitlerowskiej. Jedyny wyjątek, poza brakiem Niemców, stanowiliby Belgowie, ale i tu niemieccy rasiści w żarłoczności swej czasami biorą pars pro toto t.zn.Flamandję za całą Belgję.

Ale jak powiedziałem, to zapewne tylko przypadek, bo nie sądzę, by p.Ball istotnie upatrywał kryterjum swej klasyfikacji w zasadzie wyższości rasowej czy "wybranych narodów". Starając się odszyfrować źródła tej klasyfikacji, możnaby założyć, że o dojrzałości narodu stanowić ma - według p.Ball'a - poziom bogactwa, poziomu życiowego i cywilizacji technicznej. Po zastanowieniu się jednak hipoteza ta odpada. Po pierwsze, p. Ball, jako znakomity ekonomista, wie o tem doskonale, jakimi drogami powstawały w przeszłości bogactwa niektórych narodów i że z samego faktu ich zagarnięcia czy posiadania nie sposób dedukować dojrzałości politycznej i moralno-politycznej narodu. Po drugie domysł ten przekreśla fakt, że w spisie p. Ball'a świeci nieobecnością bogata Francja. Po trzecie zaś,p.Ball z pewnością nie zaprzeczy, że wysoki poziom życia i bogactwo materjalne nie zawsze idą w parze z poziomem moralno-politycznym i patrjotyzmem, bez których trudno mówić o zdolności rządzenia sobą.

Polska, Czechosłowacja, Jugosławja i Finlandja, które dopiero przed 20 laty odzyskały niepodległość, potrafiły w ciągu tych 20 lat z nędzy i ruin - pozbawione rezerw finansowych, kolonji, surowców i olbrzymich zapasów złota - zdziałać w zakresie urządzeń społecznych i oświatowych, osiągnięcia pewnego stopnia harmonji społeczno-gospodarczej, w zakresie inwestycji publicznych, nie mniej niż bogate narody. Tezy te łatwo udowodnić cyframi. Oczywiście to nie będą cyfry samochodów, lodówek ani statystyka miljonerów, ale w danym wypadku sądzę, że p.Ball zgodzi się ze mną: dojrzałość narodu należy mierzyć raczej sumą wysiłku twórczego i postępu, aniżeli sumą dóbr konsumcyjnych.

Tą drogą jednak, jak widzę, nie dojdziemy do żadnych wyników.

Czym osiąga naród prawo do rządzenia sobą? W moim przekonaniu przede wszystkim trzema rzeczami:

Po pierwsze: - Wykazaniem poczucia odpowiedzialności społecznej, wyrażającej się w afirmowaniu takich form bytu i rozwoju, które nie wynikają z chęci użycia, lecz mają na względzie przede wszystkim dobro przyszłych pokoleń, oraz dążą wewnątrz narodu do osiągnięcia możliwie najwyższego stopnia sprawiedliwości i harmonji społeczno-gospodarczej.

Po drugie: - Wykazaniem poczucia odpowiedzialności politycznej, wyrażającej się w jasnym i ścisłym rozróżnianiu tego, co jest dobre od tego, co jest złe w życiu międzynarodowym oraz w uznawaniu tej prawdy, że dobro własnego narodu nie należy budować na krzywdzie innych narodów.

Po trzecie:-Zdolnością produkowania energji moralnej, tworzącej się z aktów dobrowolnych ofiar jednostek na rzecz narodu. Sens życia i dziejów polega na niekończącej się wędrówce od egoizmu jednostki, przez zrodzoną z miłości ofiarę na rzecz rodziny, a później przez ofiarę jednostki i rodzin na rzecz narodu, ku coraz szlachetniejszym formom bytu. Naród, który przestaje dysponować dostateczną energją, powstałą nie z przymusu lecz z aktów dobrowolnych ofiar i poświęceń musi się zdegenerować. I jeśliby wogóle można mówić i myśleć o dyskryminacji narodów, to ewentualnych jej powodów należałoby szukać właśnie w tym ostatnim punkcie. Bo n.p. pojęcie narodu dlatego jest sprzeczne z pojęciem totalnego państwa, ponieważ w państwie totalnym wszystko jest oparte na przymusie. Z chwilą, gdy zaczyna rządzić zasada "ty jesteś niczym, twój naród jest wszystkim", wali się w gruzy fundament moralny, na którym oparty jest byt narodu, bo miejsce więzi etyczno-społecznej zastępuje machanizm rozkazodawstwa i system mechanicznych nacisków.

Z tego powodu, słusznie uczynił p.Ball, wykluczając z listy narodów, godnych dopuszczenia do przyszłego związku narodów - Niemcy.

Ale dlaczego p.Ball dyskryminuje szereg innych narodów,walczą -

cych dziś ramię przy ramieniu z Kanadą o wolność ludzi i narodów? Dlaczego dyskryminuje -bo o to jako Polak mam prawo upominać się- Polskę?

Nie wiem czy p.Ball'owi jest wiadome, że Polska posiada 900-letnią tradycję niepodległego państwa, że była jednym z pierwszych ustrojów demokratycznych w Europie, że państwo polskie rozszerzało się nie przez podboje, lecz przez dobrowolne unje, że w tekście Unji Polsko-Litewskiej uznano za podstawę związku, a więc za element praktycznej polityki - miłość, że Polska zagwarantowała nietykalność jednostki w ustawie "Neminem captivabimus" zgórą 200 lat wcześniej niż to uczynili Anglicy w "Habeas-Corpus", że przez cały XIX wiek Polacy walczyli na polach bitew całego świata pod hasłem: za naszą i waszą wolność i że to właśnie hasło wypisali na swym sztandarze w r.1939, gdy wbrew wszelkim trzeźwym kalkulacjom i pośród strachem i bezwładem ogarniętej Europy stanęli pierwsi do walki z Hitlerem. Sądzę, że gdyby Polska nie mogła wylegitymować się niczym innym jak tylko swą postawą w ciągu ostatnich dwu i pół lat, to i tak nikt nie miałby prawa dyskryminować jej tak, jak to czyni p.Ball.

Na szczęście i ja i moi rodacy wiemy dobrze, że pogląd p.Ball'a nie ma nic wspólnego z zapatrywaniem na tę sprawę Prezydenta Roosevelta, Chuchilla i innych przodujących mężów narodów anglosaskich. A jednak nie wolno nam lekceważyć opinji p.Ball'a, bo wiem, że jeśli nie tak, to w podobny sposób myśli wielu Anglosasów.

Wiara w wyjątkowe zdolności i uprawnienia jednych narodów, łącząca się z dyskryminacją innych narodów nie jest monopolem Hitlera. Tutaj, w Ameryce zetknąłem się niejednokrotnie z różnego rodzaju tabelami, ustalającymi kolejną hierarchję poszczególnych narodów. Takie tabele, klasyfikujące wartości poszczególnych narodów są zrozumiałe, jeśli chodzi o stopień kultury i bogactwa. To kryterjum jest proste i łatwe. Jedne narody są młodsze, inne starsze cywilizacyjnie, jedne miały okazję i szczęście wzbogacić się własnym czy cudzym kosztem, inne nie.

Sprawa zaczyna jednak wyglądać zupełnie inaczej, gdy ktoś konstruuje tabelę moralnej niejako wartości narodów. Tu już trzeba się poważnie zastanowić nad ustaleniem kryterjum. Weźmy - bo sprawa ta jest bliska memu sercu - polskich emigrantów w U.S.A. Do U.S.A. emigrowała najbiedniejsza część społeczeństwa polskiego. Emigrant polski, pozbawiony środków i języka, musiał zaczynać na ziemi amerykańskiej od - dna nędzy. I dzisiaj mimo wzorowej pracowitości, oszczędności i ogromnego trudu niema wśród Polaków amerykańskich dużej liczby - miljonerów. A jednak, Polacy amerykańscy -jako ochotnicy- stali zawsze i stoją obecnie na jednym z pierwszych miejsc, gdy trzeba w obronie Ameryki walczyć i ginąć. Jako farmer w U.S.A. Polak nie poszedł za przykładem innych narodów w ucieczce od ziemi i roli, lecz raz obrany warsztat rolny -mimo wszelkich trudności- z uporem i przez pokolenia trzyma i rozwija. Rodzina polska w U.S.A. świeci przykładem swym patrjotyzmem, swoją zwartością i płodnością.

I dlatego Amerykanie polskiego pochodzenia nie pretendują do pierwszych miejsc w tabeli miljonerów, ale w tabeli patrjotyzmu i moralnych wartości nie dadzą się zepchnąć na szary koniec. A naród polski chętnie uzna prymat cywilizacyjny, gospodarczy, a nawet polityczny Anglosasów, ale nie za cenę dyskryminacji, lecz tylko w charakterze młodszego, lecz pełnoprawnego członka wielkiej rodziny miłujących wolność narodów.

Ciężkie dnie, jakie dziś przeżywamy, konieczność zmobilizowania wszystkich, naprawdę, sił do walki z wrogiem, nakazują unikać wszelkich sporów i rekryminacji. Są jednak zjawiska, wobec których nie wolno przejść do porządku dziennego, właśnie w imię zwartości obozu sprzymierzonych. Do takich zjawisk należało wystąpienie p.Ball'a. Byłbym szczęśliwy, gdyby okazało się, że wystąpienie to polegało jedynie na - omyłce.

Stanisław Strzetelski

Puste słowa.

W epokach, jak nasza, napełnionych aż nadto konkretną treścią, w epokach katastrof i wstrząsów,- bujnie zakwitają puste słowa. Jak chwasty plenią się na pobojowiskach, na ruinach zbombardowanych miast i niby fałszywe nieśmiertelniki "zdobią" mogiły bohaterów. Im treściwsze czasy, tem puściejsze żerują na nich słowa. Wścibiają swe nosy w masowe rzezie, towarzyszą ostatnim tchnieniom konających na storpedowanych statkach. Ludzi, przywiązanych do rzetelności ta wszechobecność pustych słów, mówionych i pisanych, nietylko zawstydza, lecz poprostu -brzydzi. Być może, iż ów powszechny niemal stan rzeczy wywodzi się z wielkiej niewspółmierności słów do zjawisk, które słowa te mają wyrażać. Tam gdzie mamy do czynienia z takiemi zjawiskami jak: wojna, ucisk, głód, wielkie niedole narodów, pragnienie lepszej przyszłości, często nie potrafimy się wysłowić. Tem gorzej, gdy na wyrażenie tych spraw posługujemy się pustosłowiem.

Nie chcę być sam podejrzany o używanie pustych słów, więc powiem pokrótce co za takowe uważam. Są to dźwięki mowy ludzkiej, nie odpowiadające żadnym wyobrażeniom. Ani konkretnym, ani abstrakcyjnym. Lub też dźwięki wyrażające treści fałszywe, zdeformowane moralnie, uczuciowo i materjalnie. Sprawą tą zajmuję się już oddawna, prawie tak długo jak literaturą. Przed dwudziestu zgórą laty, w przedmowie do mego przekładu homerowej Odyssei starałem się ujawnić parę kategorji pustych słów, stosowanych w literaturze. Przeciwstawiłem wówczas słownictwu Homera, ściśle i precyzyjnie oddającemu jego wizję poetycką, błędy semantyczne niektórych pisarzy współczesnych, używających słów, które nie pokrywają się z żadną wizją ani u nich samych, ani u czytelnika, lub wywołują fałszywe wizje. W poezji t.zw. "Młodej Polski" nieraz spotykało się słowo: "nenufar". U niektórych autorów wynikało z kontekstu, że autorowie ci nigdy nenufarów nie widzieli, lub widzieli, lecz nie przeczuwali, że to, na co patrzą, jest nenufarem. Po dziś dzień spotykamy w polskiej mowie drukowanej słowo: "sarabanda" przeważnie w połączeniu z przymiotnikami: "dzika", "szalona", "zawrotna". Autorowie tych kombinacji padli ofiarą pustosłowia. W najlepszym wypadku podłożyli pod słowo: "sarabanda" fałszywe wyobrażenie, wynikające zapewne z romantycznego dla nich brzmienia tego słowa. Nie trzeba być człowiekiem szczególnie muzykalnym, ani znawcą dawnych tańców, lecz poprostu wystarczy zajrzeć do encyklopedji, aby przekonać się, że sarabanda jest zaprzeczeniem dzikości, szaleństwa, zawrotności. To - bardzo spokojny posuwisty, niemal uroczysty taniec, nawet nie wirowy, lecz raczej chodzony, jak nasz polonez. No, ale używanie pustych słów w piśmiennictwie luksusowem jest nieszkodliwe. Co innego, gdy tyranizują one nasze życie społeczne i mają wpływ zarówno na nasze istnienie jak i na naszą zagładę. Tu byłyby wskazane jakieś sankcje, których wykonawcami powinni być pisarze.

Proszę mi wybaczyć, że znów zacytuję siebie i powtórzę to, co już raz napisałem z okazji pierwszej wojny światowej. No, ale nie ja wywołałem tę ohydną i o tyle groźniejszą powtórkę dziejową. W powieści p.t. "Sól ziemi" pewien naczelnik stacji kolejowej wyraża się w pierwszych dniach sierpnia 1914 r. /w b. Galicji, należącej wówczas do zaboru austrjackiego/ tak: "Za tydzień wkroczymy do Belgradu, za dwa tygodnie weźmiemy Warszawę, a za trzy tygodnie z Boską pomocą będziemy w Moskwie." Tę wypowiedź pozwolił sobie autor zaopatrzyć następującym komentarzem: ""Mówiąc: "wkroczymy do Belgradu i weźmiemy Warszawę" nie miał naczelnik na myśli swego fizycznego udziału w wyprawie, od której przynajmniej narazie zwalniał go urząd i wiek. Użył on tylko popularnej w czasie wszystkich wojen formy czasownika, w której ci, co zostają w domu, manifestują swą solidarność z tymi, co idą na wojnę."" W obecnej wojnie ten, że go tak nazwiemy, "pluralis arriericus", liczba mnoga tyłowa, -również znajduje szerokie zastosowanie. Nawet niektórzy paralitycy, przykuci do swych foteli na kółkach, maszerują na Berlin, zajmują Tokjo, wkraczają do Rzymu. Pustość tych form słownych w

porównaniu z arcyrealnym trudem żołnierskim jest conajmniej nietaktem,na który człowiek chyba tylko raz w życiu może sobie pozwolić. Ale skoro, zresztą nie z naszej winy, okazje do popełnienia tych nietaktów powtarzają się co dwadzieścia lat, powinniśmy przynajmniej przejść pewną ewolucję języka potocznego.

W tej chwili n.p. dużem wzięciem cieszy się w języku polskim na obczyźnie słowo:demokracja.Nie:narodowa demokracja,nie:socjalna demokracja i nie:crześcijańska demokracja,tylko sama:demokracja. Słowo to, bez poprzedzających je przymiotników,dla wielu ludzi w Polsce przedwrześniowej było poprostu synonimem wyznania mojżeszowego. Dla Hitlera też.Dziś jawi się to słowo w sensie afirmatywnym na niejednych ustach wykrzywionych źle ukrytym grymasem wzgardy nie tylko dla ludzi tego wyznania,ale i dla wszystkich konsekwencji, jakie wiara w ten wyraz w swej nieskażonej treści,pociąga. Co do mnie,starego,choć nie bezkrytycznego demokraty /bez przymiotnika/,miałbym w takich wypadkach ochotę sparafrazować słynne powiedzenie bohatera pewnej kiepskiej sztuki niemieckiej:"Gdy słyszę słowo:demokracja,odbezpieczam..." Ale,co ja właściwie odbezpieczam? Moją bronią jest tylko bezbronne słowo, którem strzelam do słów pustych,pustość wyrażających. Czyli, że strzelam w próżnię.

Józef Wittlin

Chińczyk.

Parę tygodni temu na śniadaniu,wydanem przez Koło Polskie dla Dorothy Thompson,spotkałem mego znajomego Chińczyka; chcąc być ścisłym,należałoby powiedzieć: jedynego dobrze mi znanego Chińczyka.

Zawsze żywo pamiętałem pierwsze z nim spotkanie,tak było ono niezwykłe,dzisiaj zaś z tego właśnie wspomnienia wysnuwa mi się szereg myśli,które napewno niejednego nachodzą.

Było to pięknej,śnieżnej zimy akurat po Bożem Narodzeniu; po nocy spędzonej na różnych skomplikowanych przesiadaniach się,czekaniu w pustych bufetach prowincjonalnych stacji, jechałem staromodną karetą do dworu moich przyjaciół, których odwiedzałem po raz pierwszy w ich majątku między Gnieznem i Poznaniem.

Przyjechałem bardzo wcześnie,tak że państwo domu spali jeszcze i w jadalni przy wczesnem śniadaniu siedziały dwie osoby, których w najśmielszej fantazji trudno mi było wyobrazić sobie razem w tradycyjnej sali polskiego dworu, ozdobionej wątpliwego artyzmu ale niewątpliwej autentyczności portretami przodków. Jedną z tych osób była woskowo blada staruszka w czarnej sukni i czarnej koronce na głowie, jak się później okazało, pielęgnująca z pietyzmem w swym pokoiku na górce ni mniej ni więcej tylko napoleońskie sztychy, istna "Pani Teodora"Weyssenhoffa, drugą był młody Chińczyk o wciąż uśmiechniętej /tak mi się zdawało/ twarzy,który na powitanie moje wyrecytował uprzejmie parę polskich zwrotów,wyuczonych od gospodarzy a naszych wspólnych przyjaciół.

Chińczyk był to radca Ambasady Chińskiej w Berlinie,kolega pana domu,który naówczas spełniał te same funkcje w naszym poselstwie; był podobno, i łatwo temu uwierzyłem, ulubieńcem całego korpusu,wszędzie budząc sympatję dla swego humoru,życzliwości,łatwości w zabawie,dla wszystkich zresztą zalet towarzyskich,które w naszem wyobrażeniu łączy się z pojęciem światowego europejczyka; pozatym oczywiście widziano w nim urok egzotyzmu, osnuwający jego drugie życie,to,które pędził gdy rok rocznie na czas dłuższy jeździł do Pekinu,aby tam w narodowym stroju,wśród rodziny i kobiet swego kraju być sobą,czy też wyżywać jakiegoś jeszcze innego niż znany nam, siebie.

W czasie paru dni,spędzonych obok siebie,bo w zimowe wieczory

ciągle siedziało się razem w ciepłym domu, dwa razy - wesoły Hoo zaimponował mi oświadczeniem,które wciąż teraz przypominam sobie,gdy myślę o jego wielkim i bohaterskim kraju.

Panował wtedy u nas i w całej Europie przejściowy ale powszechny szał gry w mah-jonga,grano go wszędzie i przy każdej okazji,- nic więc dziwnego,że w bardzo obserwującym zmienne mody domu mych przyjaciół codzień wieczór wśród innych zabaw i tej także się oddawano.

"Pan musi oczywiście doskonale grać w mah-jonga?" zapytałem niezbyt inteligentnie ale w najuprzejmiejszej intencji naszego Chińczyka,widząc go raz pierwszy przy rozłożonych kostkach.

Nie ręczę za ścisłość cyfry,ale gdy wspominam moje ówczesne oszołomienie zdaje mi się,że lekka i uprzejma odpowiedź Hoo brzmiała mniej-więcej w ten sposób:"Ach,to nie żadna sztuka.W naszej rodzinie gra się w mah-jonga od 1000 lat". Tę samą bodaj cyfrę usłyszałem,gdy Hoo mówił mi o pokoleniach swoich przodków,którzy z tradycji wszyscy jak on służyli w chińskim M.S.Zecie.

Od czasu owego spotkania przed dwudziestu blisko laty widywałem przelotnie tylko w Genewie i w Paryżu mego znajomego,wówczas już posła chińskiego w Szwajcarji,doświadczając za każdym razem mimo łatwości rozmowy uczucia zbliżania się do spraw niezwykle odległych,oddzielonych od nas całemi światami instynktów,pragnień i konfliktów.

Wiem,że są Polacy /nie mówiąc już o doktorze Rajchmanie/,dla których Chiny otwarły część swych tajemnic,którzy oddawna wiedzieli,że sprawy Wschodu i Zachodu zbliżą się do siebie w sposób tragiczny, znam Polaków,którzy czuli się w Pekinie jak w Paryżu, myślę jednak,że mam rację sądząc,iż dla większości z nas w gruncie rzeczy Daleki Wschód był zawsze egzotyczną bajką bez głębszego znaczenia dla naszego życia.

I oto spotkawszy Hoo na śniadaniu dla pani Thompson i zamieniwszy z nim parę słów,nabrzmiałych tą samą troską,uświadomiłem sobie nagle jak zupełnie zmienił się ten nasz stosunek nietylko myślowy ale i instynktowny do Wschodu, te fałszywe perspektywy,z których przywykliśmy patrzeć na jego sprawy; parę dni temu,słuchając tekstu depeszy marszałka Czang-Kai-Szeka przysłanej na otwarcie Instytutu Francuskiego w New Yorku pomyślałem,że wszelkie odległości przestały już istnieć jeśli chodzi o odrębność interesów,wszystko jest już związane na świecie łańcuchem przyczyn i skutków i nietylko dla nas tu w Ameryce,ale tak samo dla Polaków w kraju - Chiny stały się nietylko sprzymierzeńcem ale w pewnym sensie i sąsiadem.

Sądzę też,że im bardziej będziemy sobie uświadamiać tę współzależność dziejących się na świecie wypadków,im szybciej zdamy sobie sprawę,że w zapasach,które się toczą,walczą nietylko wszystkie narody,ale i wszystkie tradycje,kultury,których szanse upadku lub rozwoju zależne są od tej wojny - tem lepiej pojmiemy istotny sens poruszającego Świat wstrząsu i tem prawdziwsze i lepsze wywalczymy miejsce dla naszej sprawy i naszego wysiłku.

Nowe Chiny,tylokrotnie skazywane przez lekkomyślne europejskie proroctwa na wieczną bierność historyczną a dziś tak wspaniale obudzone, dające tak potężną i tak szlachetną syntezę wspaniałej tradycji,postępu społecznego,głębokiej religji - ich wódz tak ludzki i tak nieugięty,dający przykład zarazem genjuszu państwowego i,chciałoby się powiedzieć,humanistycznej kultury,ukazuje nam prawdziwe perspektywy dziejących się przemian i ich nieograniczonych optymistycznych możliwości.

W ich świetle zadziwiający obrazek,który mnie powitał przed laty w jadalni polskiego dworu - zdaje się być nieomal głębokim symbolem.

Jan Lechoń

Demokratyzacja kultury polskiej.
Ciąg dalszy.

W Polsce mieliśmy 20 wyższych zakładów naukowych typu uniwersyteckiego z przeciętnie 50 tysiącami studentów rocznie. Dostęp do tych szkół był względnie ułatwiony,ponieważ istniała ogromna ilość stypendjów i powstawało coraz więcej wspaniałych domów akademickich, gdzie młodzież mogła mieszkać bezpłatnie albo za bardzo drobną opłatą. Rola uniwersytetów w życiu kulturalnem Polski była olbrzymia, szczególnie jeżeli chodzi o rozwój wiedzy. Pozatem każdy uniwersytet wychodził poza ramy swego właściwego zadania. W ramach np."Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich" profesorowie uniwersytetu wygłaszali rocznie kilkaset wykładów popularno-naukowych, docierając do najdalszych zakątków prowincji. W ten sposób zaspakajali głód wiedzy najszerszych mas społeczeństwa, spełniając zaszczytną rolę przewodników duchowych narodu. Ich męczeństwo dla sprawy polskiej i bohaterska postawa wobec najeźdźcy - stała się już twórczym mitem,który będzie trwał w wyobraźni pokoleń i prowadził je na drodze postępu.

Poza urzędowem szkolnictwem, imponująco przedstawiała się samodzielna inicjatywa kulturalna społeczeństwa. W tej dziedzinie dokonano naprawdę rzeczy epokowych. Szczególnie ożywioną działalność rozwijała młodzież wiejska i robotnicza. Był to objaw radosny, świadczył bowiem,że lud polski pojął głęboko własną rolę w życiu narodu. Ten zdrowy i pełen świeżego zapału ruch kulturalny skupiał się w licznych organizacjach i oświatowych instytucjach, przyczem właściwym bodźcem było głównie pragnienie zaspokojenia wrodzonego instynktu artystycznego. Niesposób wyliczyć na tem miejscu wszystkich organizacji. Wymienię tu tylko niektóre, jak "Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej", który wydawał własny organ "Siew",- "Związek Młodzieży Wiejskiej" z miesięcznikiem "Wici", - "Związek Młodzieży Ludowej" z miesięcznikiem "Młoda Wieś", - "Związek Teatrów Ludowych",utrzymujący własną bibljotekę teatralną i wydający swój organ miesięczny,-"Związek Teatrów i Chórów Ludowych", - "Towarzystwo Kółek Rolniczych",- "Towarzystwo Gospodyń Wiejskich" i wiele innych. Pozatem ruch kulturalny skupiał się w takich instytucjach jak "Towarzystwo Szkoły Ludowej", "Macierz Szkolna", "Ludowe Uniwersytety Wiejskie" typu internatowego, wzorowane na duńskich uniwersytetach ludowych Grundtviga, których zadaniem było wydobywanie dorobku duchowego i społecznego wsi polskiej. Dokształcający charakter miały uniwersytety regjonalne, ludowe szkoły rolnicze, kursy obywatelskie, uniwersytety niedzielne, początkowe kursy dla dorosłych i młodzieży. Wśród młodzieży robotniczej chlubną akcję rozwijało "Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego"/Tur/, które wydawało własne pismo "Oświata i Kultura".

W ostatnich latach nie było w Polsce wsi lub skupiska robotniczego, gdzieby nie istniała świetlica z własną bibljoteką i czasopismami. W tych świetlicach zbierała się młodzież niemal co wieczór, by wysłuchać odczytu, przeprowadzić dyskusję na jakiś aktualny temat, by śpiewać lub też odbywać próby do amatorskiego przedstawienia. Dla przygodnego gościa obecnego na takiem zebraniu, niezwykłą niespodzianką był nastrój powagi i głębokie wyrobienie obywatelskie. Widać było, że wyrasta w Polsce nowa budząca się generacja,świadoma celów i swojej wartości, która wniesie ożywcze soki do polskiej cywilizacji i odegra twórczą rolę w budowie państwa. Jeżeli praca tych nowych elementów społecznych odbywała się w warunkach ekonomicznie i ustawowo trudnych, świadczyło to tem więcej o ich żywotności. Chlubna postawa tej młodzieży w tragicznych chwilach narodu dała jej dziejowe prawo zajęcia przedniej pozycji zarówno w politycznej jak i kulturalnej odbudowie państwa.

Na najwyższym stopniu życia kulturalnego należy zanotować ożywioną akcję odczytową tak zwanych wieczorów literacko-artystycznych,organizowanych przez Związki Zawodowe Literatów Polskich. W Poznaniu słynne były wieczory czwartkowe w Pałacu Działyńskich, w Wilnie Środy w klaszto-

rze Bazyljanów. Tego rodzaju wieczory odbywały się pozatem we Lwowie, w Krakowie, w Gdyni, w Bydgoszczy, w Katowicach i innych miastach. Odczyty na najaktualniejsze zagadnienia literackie, naukowe i społeczne wygłaszali tam wybitni przedstawiciele polskiego życia intelektualnego, a udział publiczności był zawsze tłumny. Towarzystwa muzyczne i związki kompozytorów urządzały perjodycznie koncerty, na których produkowano nowe utwory polskich kompozytorów i uprawiano kult polskiej twórczości muzycznej. Wielkie orkiestry symfoniczne w Warszawie, we Lwowie i Poznaniu dawały co tydzień kilka koncertów, zazwyczaj transmitowanych przez Polskie Radjo. Coraz bardziej rozpowszechniał się kult śpiewu chóralnego w wielu organizacjach śpiewaczych, a niektóre zespoły zyskiwały sławę europejską. W dziedzinie sztuk plastycznych popularne były wystawy obrazów i rzeźb, urządzanych perjodycznie w muzeach i lokalach wystawowych. Twórczą rolę w ruchu kulturalnym odegrała również prasa. Niemal każda większa gazeta miała specjalny dział literacki i popularno-naukowy. Wśród czasopism prym wiodły "Wiadomości Literackie" docierające do najdalszych zakątków Polski, czytane zarówno przez dorosłych, jak i też przez młodzież w świetlicach i czytelniach szkolnych.

Na tle tego bujnego życia kulturalnego było osobliwe, że szereg zagadnień nie znalazło do ostatniej chwili właściwego rozwiązania. Przedewszystkiem więc sprawa książki polskiej. Książka była w Polsce niewspółmiernie droga, przeto niedostępna dla szerszych mas pracujących. Równocześnie statystyki publicznych i prywatnych wypożyczalni książek wykazywały, że głód książki stale rośnie. Drożyznę książki powodowały małe nakłady oraz wadliwie zorganizowana sprzedaż. Konsekwencją tego zjawiska były niedostateczne dochody pisarzy i niezdrowe podstawy ich egzystencji. Książka jako zjawisko normalnej funkcji kulturalnej nie docierała do mieszkania przeciętnego nabywcy. O tem, by docierała pod strzechę, nie mogło być mowy. Próby przeprowadzenia reformy rozbijały się zawsze o trudności ekonomiczne. Głośny swego czasu projekt sejmowy, przewidujący zorganizowanie bibljotek gminnych na koszt gmin, został odrzucony, gdyż budżety gminne rzekomo nie zniosłyby tego nowego obciążenia. Niektóre posunięcia, jak sejmowe tanie wydanie dzieł Mickiewicza, miały charakter dorywczy i nie rozwiązywały zagadnienia. W przyszłości warunkiem zdrowego rozwoju kultury polskiej będzie tania książka. Bo tylko książka jako własność osobista może spełnić w właściwym stopniu swoją misję.

Niepoślednią rolę w rozpowszechnianiu kultury miało Polskie Radjo, którego programy zawierały rocznie kilka tysięcy pogadanek, słuchowisk radjowych i koncertów. Jego tygodniowe audycje szopenowskie ugruntowały i pogłębiły kult tego największego genjusza muzycznego, którego uduchowione melodje rozbrzmiewały odtąd po całym kraju. W ostatnich latach poświęciło szczególną uwagę popularyzacji literatury pięknej. Jak silne było oddziaływanie tych audycji na tysięczne rzesze słuchaczy, świadczyły udramatyzowane dialogi Platona, które trzeba było kilkanaście razy powtarzać. Listy z prośbą o wznowienie pochodziły ze wszystkich sfer społeczeństwa, począwszy od inteligencji a skończywszy na słuchaczach dalekiej wioski. Równocześnie stanowiły one pouczający dowód, jak wrażliwy jest polski lud na słowo prawdziwie artystyczne.

Ale i w tym tak popularnym narzędziu oddziaływania kulturalnego nie obyło się bez poważnych niedostatków organizacyjnych. Płacony przez posiadacza aparatu radjowego abonament był stanowczo za wysoki w stosunku do przeciętnego dochodu robotnika i rolnika. Pozatem, same aparaty radjowe, na skutek polityki obcego kartelu lampowego, były zbyt drogie. Rozpowszechnianie więc radja wśród szerokich rzesz pracujących posuwało się naprzód niesłychanie wolno. Krótko przed wojną ta paląca sprawa miała być rozwiązana radykalnie, sfery rządowe bowiem postanowiły przystąpić do fabrykacji taniego odbiornika i do obniżenia abonamentu radjowego. /Abonament radjowy był podstawą egzystencji europejskiej radjofonji/. Dok. nastąpi./

Zenon Kosidowski

Time bomb.
Rozdział 3.

Profesor skończył operację i z trudem wyprostował zbolały krzyż. Teraz dopiero poczuł, jak strasznie był zmęczony. Miał wielką pokusę, żeby wyciągnąć się na sofie w poczekalni, ale ten ogień...Musi zobaczyć. Może miss Violet przesadzała.

Niestety nie przesadzała wcale. Ogień objął już cały domek, w którym mieściła się pralnia, i groził przerzuceniem się na główny budynek. Ludzie zdzierali dach z magazynu sąsiadującego z pralnią i polewali go wodą. To była jedyna nadzieja zatrzymania pożaru.

Profesor stanął bezradnie. Zaczął bębnić palcami w powietrzu, jak zwykle przed skomplikowaną operacją, ale i tu nie pomagało to. Tak, miss Violet nie przesadzała. Nie wyglądało na to, żeby dało się pożar ugasić. A jeżeli nie - trzeba szpital ewakuować. Ale dokąd? - Profesor patrzał w koło zakłopotany. - Gdzieindziej było jeszcze gorzej. Więc rzeczywiście chyba do ogrodu, jak mówiła miss Violet.- Profesor ciężko westchnął.- Do ogrodu - to znaczy pozbawić chorych nawet tej nikłej osłony, jaką dają mury i mieć jutro w szpitalu grypę.- Bębnienie palcami doszło do zawrotnego tempa. -Więc za wszelką cenę trzeba ratować - myślał i bezwiednie podszedł do drabiny opartej o dach magazynu.

-Przepraszam, ale tu nie robota doktorska - usłyszał nagle za sobą głos Webera, teraz jakoś silniej niż zwykle zaciągający nieprzyjemnym niemieckim akcentem.

Profesora zdziwił ten ton. Ten niepozorny, miękki i zawsze ugrzeczniony człowieczek był teraz dziwnie stanowczy i nawet szorstki. Skąd w nim ten ton rozkazu? Wygląda, jakby stale dowodził strażą ogniową.

Weber jednak miał rację, musiał przyznać profesor. Rzeczywiście nie była to robota dla niego. Spostrzegł się, że stał zgarbiony i trzymał się za bolący krzyż, drugą ręką wciąż wybębniając swoje palcówki. W tym wieku nie łazi się już po drabinach. Pewnie nie wydrapałby się już nawet. Powinien teraz położyć się i wypocząć, zwłaszcza że może czeka ich noc w ogrodzie. A jednak trudno mu było odejść. Od pacjenta też nie odchodził, choć nie raz też nie mógł nic pomóc.

-Ugasi się?- zapytał człowieka stojącego przy sikawce.

-Jak się ugasi, to i bez profesora, a jak się nie da, to się nie da i z profesorem - odpowiedział mu wesoło.

Profesor zobaczył na dachu miss Violet.

-Nie mogę próżnować, kiedy nawet miss Violet pracuje. Nie darowałaby mi - zażartował.

-Ale jutro nie będzie robić operacji nawet miss Violet, tylko jeden pan!

Gwizd bliskiej bomby przerwał tę rozmowę. Weber krzyknął: "Padnij" ale nim profesor zdążył zgiąć się, było już po wybuchu. Z dachu doszedł go śmiech. Profesor chciał jeszcze targować się, ale Weber oświadczył mu krótko, że nie ma tu nic do gadania. On, Weber, ma komendę nad całym szpitalem podczas pożaru, tak było postanowione, i on wyznacza ludziom stanowiska, i dla profesora wcale nie ma miejsca. Odwrócił się tyłem i odszedł.

-Niemiecki zmysł organizacji - pomyślał profesor, odchodząc jak niepyszny w przeciwną stronę.

Weber, były podoficer armji niemieckiej, dostał się do angielskiej niewoli w czasie wielkiej wojny i został przydzielony do tego szpitalika. Polubił pracę sanitarjusza i zaraz po wojnie nie chciało mu się wracać do wygłodzonych Niemiec. Potem dzięki pracowitości doszedł do stanowiska intendenta szpitala, a potem jego przyciężki umysł został tak oczarowany wolnością człowieka w Anglji, że nie było mowy o powrocie. Zaaklimatyzował się i w ciągu dwudziestu lat ani razu nie odwiedził swojej dawnej ojczyzny.

-Liberał jestem i nie nadam się już do nich- mawiał z błędnym ak-

centem,ale z szczerym przekonaniem.Po przewrocie narodowo-socjalistycznym w Niemczech przestał nawet pisywać tam listy.Gdy jednak wybuchła obecna wojna,zabrano go do obozu internowanych Niemców,nie bacząc na jego przekonania. Wiele pracy kosztowało profesora uwolnienie go stamtąd,gdy nowa ustawa pozwoliła na to.

-Dobrze,że go wypuścili - myślał profesor,wracając do poczekalni. Ten człowiek był teraz nieoceniony. To on zorganizował całą pracę i obronę szpitala. On teraz zarządził przeniesienie magazynu z najwyższego piętra do piwnicy.Gdyby nie to, w tej chwili bylibyby bez środków aptecznych, bo magazyn - już bez dachu - zalany był wodą.

Profesor stanął przy oknie. Niebo było jasno czerwone,a niżej, między ciemnymi sylwetami domów,widać było daleki ogień palącego się śródmieścia,w które waliły wciąż nowe bomby.

Straszna noc przyszła na jego biedne Coventry.Na starą wieżę Cezara,na więzienie,w którym miała być zamknięta Marja Stuart,na stare domki w tamtej uliczce i na samą katedrę,która też może już tam płonie.Profesor poczuł ściskanie w gardle,a że nie lubił rozczulania się,więc odszedł od okna i położył się na sofie.

Ale nie mógł zasnąć.Więcej jednak kochał swoje Coventry,niż przypuszczał.Może nawet więcej niż ludzi w nim. Bo mimo grzeczności i stałego uśmiechu,miał jednak coś w rodzaju lekceważenia dla tych biedaków,których marzenia nie wychodziły po za weekend z piwem,a najgorętsze przeżycia były związane z matchami piłki nożnej.

-Ale właściwie mniej wiedziałem o tych ludziach,niż sądziłem -rozmyślał. Bo nigdy nie przypuszczał,że ci prości clerkowie,rzemieślnicy,robociarze będą teraz w pełnym ogniu bitwy zachowywali się tak,jakby znowu chodziło o match a nie o życie. Te same dziewczęta,dla których szczytem wzruszenia były jęki kołyszącego tanga w czerwonym świetle reflektorów na dancingu,teraz gdy ziemią kołysały bomby i nie saxofony lecz ludzie jęczeli,prowadziły ambulanse przez pożarem oświetlone ulice - i robiły to z miną,jakby jechały na dancing.Ciekawa rzecz,rozmyślał profesor,co też o tym powie doktór Allen,ten kandydat na neurologa.

Profesor był zaskoczony i sobą samym.Przecie pielęgniarki patrzały na niego z szczerym podziwem,gdy zabrał się do operacji po tej bombie -widział to wyraźnie. Wobec zbliżającej się sześćdziesiątki jest mu to już obojętne,ale ciekawe jak wytłumaczy ten jego spokój Allen,ten zwolennik behavioryzmu,który wszystko tłumaczy odruchami w człowieku.

-Pan profesor nie śpi?-usłyszał nad sobą cichy głos doktora Allen.

Był to człowiek,jak większość młodych Anglików,wysoki ale wątły. Może nawet był silny i wysportowany,nie zdradzał jednak tego swą niedbałą postawą i ruchami pozbawionymi energji. Mimo swego doktoratu,zdobytego pół roku temu,a nawet mimo wąsika pod nosem, robił wrażenie chłopaka, który niedawno wyrósł i jeszcze nie przyzwyczaił się do swego wzrostu. Zawadzały mu trochę za długie nogi i nie bardzo wiedział,co zrobić z rękami.Wrażenie chłopięcości zwiększały duże oczy i jasne włosy,źle zaczesane.

Stał on teraz nad profesorem,jak zawsze uprzejmy i uśmiechnięty, ale jak nigdy -nieogolony,spocony i brudny,a nadewszystko zmęczony.

-Nie,nie śpię - odpowiedział profesor,nie otwierając oczu. -A co się stało?

-Dzwonili z Warwick County Hospital. Rozwaliło im jedno skrzydło i u siebie nie mają miejsc,więc wysłali do nas transport rannych.

/Dalszy ciąg nastąpi/

Antoni Cwojdziński